

Rumunia: łacińska wyspa tajemnic

Kamil Całus

Rumunia nie jest „obiektem” łatwym dla osoby studiującej i analizującej jej rzeczywistość polityczną, społeczną i gospodarczą. Nie chodzi przy tym o szczególną złożoność czy zawłość tamtejszych realiów. Przeciwnie – często okazują się one prostsze i bardziej prozaiczne, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Problem generują deficyt dobrych pod względem jakościowym źródeł informacji, zwłaszcza niska wartość treści prasowych, oraz tradycyjna dla rumuńskiej klasy politycznej – wyniesiona z czasów poprzedzających rewolucję 1989 r. – obsesyjna niekiedy skłonność do utajniania wszystkiego, co tylko utajnić można.

W efekcie badając ten kraj, analityk nieustannie nawiguje między faktami, mniej lub bardziej precyzyjnymi i wiarygodnymi doniesieniami medialnymi oraz niezliczoną wprost liczbą nieweryfikowalnych plotek i hipotez płynących z ust i spod piór poważnych dziennikarzy, analityków i innych komentatorów życia publicznego. Czasem są one trafne, czasem dostarczają okruchów przydatnej wiedzy, lecz zwykle nie mają jakiegokolwiek związku z rzeczywistością i jedynie mącą jej obraz. Po tych mętnych wodach da się jednak – przy odrobinie samozaparcia, doświadczenia i umiejętności – całkiem sprawnie żeglować.

Insula de latinitate

Zanim dokładniej przyjrzymy się wspomnianym wyżej trudnościom i wyzwaniom, przed którymi stoi analityk zajmujący się badaniem Rumunii, pora na

kilka słów na temat jej specyfiki historyczno-kulturowej. Znajomość tego kontekstu odgrywa niezwykle ważną rolę – nie tylko pozwala zrozumieć (czy raczej podjąć taką próbę) sposób myślenia miejscowych elit i znacznej części społeczeństwa, lecz także przydaje się w trakcie codziennych dyskusji z tamtejszymi kolegami, stanowiąc po prostu zjednujący nam sympatię i otwierający niejedne drzwi wyraz szacunku wobec naszego rozmówcy. Rumuni – podobnie zresztą jak Polacy – są ponadprzeciętnie wyczuleni i niezwykle pozytywnie odbierają wszelkie sygnały wskazujące na szczere zaciekawienie obcokrajowców ich krajem, kulturą i historią.

W łagodnym przejściu do tych zagadnień pomoże nam przywołana na wstępie terminologia marynistyczna, która – choć jest przede wszystkim zabiegiem stylistycznym – wydaje się na miejscu, jeśli weźmiemy pod uwagę sposób, w jaki państwo to postrzega się na poziomie zarówno wewnętrznym, jak i międzynarodowym. Rumunia to bowiem w percepcji jej obywateli kulturowa i cywilizacyjna „łacińska wyspa” (rum. *insula de latinitate*) na „morzu Słowian” (choć poprawniejszy byłby pewnie zwrot „morze słowiańsko-madziarskie”).

Pozornie ta będąca filarem tożsamości autochtonów koncepcja może wydawać się co najmniej dziwna. Właściwie jedynym jednoznacznie łacińskim – czy raczej z łaciny się wywodzącym – elementem tamtejszej kultury jest język. Rumuński, mimo silnych wpływów słowiańskich, tureckich i węgierskich, należy do rodziny romańskiej i ma wyraźne związki choćby z włoskim czy francuskim. Ale poza sferą lingwistyczną koligacje współczesnej Rumunii ze starożytnym Rzymem raczej trudno dostrzec. W końcu leży ona nie w basenie Morza Śródziemnego, lecz nad brzegami Morza Czarnego, w Europie Południowo-Wschodniej. Niektórzy jej obserwatorzy skłonni są nawet uznawać ją za część Bałkanów, czego – o czym warto pamiętać, by nie narażać się na krzywe spojrzenie miejscowych rozmówców – sami Rumuni organicznie nie znoszą.

Tezie o łacińskości zdaje się przeczyć też fakt, że prawie 75% mieszkańców tych terenów to wyznawcy prawosławia. Ba! Cyrylicę do zapisu języka rumuńskiego stosowano aż do lat 60. XIX wieku. Wreszcie – Wołoszczyzna i Mołdawia, tj. księstwa, które w połowie XIX stulecia zjednoczyły się, dając początek państwu rumuńskiemu, przez wieki znajdowały się pod politycznymi i kulturowymi wpływami osmańskimi oraz – krócej – rosyjskimi. Dość spojrzeć na historyczne portrety miejscowej szlachty, tj. bojarów – ta nazwa również wywodzi się przecież nie ze starożytnego Rzymu, lecz z tradycji wschodniosłowiańskiej. Ich stroje, styl życia i wystrój ich domów inspirowany był bezpośrednio tendencjami płynącymi wprost z Konstantynopola.

Skąd więc idea takiego, a nie innego pochodzenia Rumunów? Otóż jest ona stosunkowo młoda – zaczęła się kształtować nieco ponad 200 lat temu, na przełomie XVIII i XIX wieku, i stanowiła fundament światopoglądowy

rodzącego się nowoczesnego narodu i państwa. Jej twórcom – którzy punktem wyjścia dla swojej koncepcji uczynili mowę wywodzącą się ze zwulgaryzowanej łaciny – zależało nie tylko na tym, by stworzyć wspólną opowieść jednoczącą ludność etnicznie rumuńską posługującą się tym samym językiem, dzielącą zbliżoną kulturę i zamieszkującą głównie na ziemiach ówczesnej Wołoszczyzny, Mołdawii i Siedmiogrodu. Chcieli oni też dać jej mit założycielski, kotwiczący ją nierozdzielnie w rodzinie „cywilizowanych” i cieszących się wielowiekową przeszłością narodów Europy Zachodniej, jak Francuzi i Włosi.

Owa opowieść o łacińskim rodowodzie miała pomóc ludności rumuńskiej żyjącej w Siedmiogrodzie w walce o jej prawa w regionie, którego elity intelektualne, gospodarcze i polityczne tradycyjnie zdominowali Węgrzy, mieniący się nie tylko „wyższymi kulturowo”, lecz także odwiecznymi mieszkańcami tych ziem. Łacińskość Rumunów czyniła ich automatycznie spadkobiercami starożytnej cywilizacji, ale i pozwalała im twierdzić, że w Siedmiogrodzie znaleźli się oni po prostu na długo przed Madziarami.

Omawiana koncepcja z czasem ewoluowała i rozrosła się o tzw. komponent dacki, jeszcze głębiej osadzający Rumunów na wchodzących obecnie w skład ich państwa terenach. W końcu przyjęła formę, którą za obowiązujący i wykładany na lekcjach historii w całym kraju mit założycielski uznaje się do dziś. Przytoczmy ją w telegraficznym skrócie. Oto na początku II wieku n.e. Dakowie – lud od ok. 1700 r. p.n.e. zamieszkujący Dację, tj. ziemie na północ od dolnego Dunaju (obszar ten pokrywa się w większości z terytorium współczesnej Rumunii) – zostali podbici przez wojska cesarza Trajana, który w zaciętych walkach pokonał ich ostatniego króla Decebala i przyłączył te tereny do Imperium Rzymskiego. W następstwie tych wydarzeń lokalna ludność zmieszała się z przybyszami i dała podwaliny pod naród rumuński. Zgodnie z tą legendą dzisiejsi Rumuni są więc sukcesorami zarówno Rzymian, którzy po aneksji Dacji zaprowadzili w niej swoje porządki i przynieśli tam własną kulturę, infrastrukturę i instytucje, jak i dumnych Daków, którzy – choć przegrali starcie z Imperium – do upadłego i z poświęceniem bronili należących do nich od niepamiętnych czasów ziem.

Rumuńska symbolika narodowa i przestrzeń publiczna powszechnie odwołują się zarówno do rzymskich, jak i dackich korzeni. Druga zwrotka hymnu wprost wzywa, aby „dać światu dowód, że w żyłach naszych wciąż jeszcze płynie krew Rzymian”, i głosi, że Rumuni „w sercach zachowują imię zwycięskiego w bojach Trajana”. W wielu miastach natrafimy na kopie posągu wilczycy kapitolńskiej, zaś najśłynniejsza z nich znajduje się w centrum Bukaresztu. Państwo otrzymało ją od Włoch w 1906 r. na 25-lecie koronacji króla Karola I oraz 1800-lecie podboju Dacji przez Imperium Rzymskie. Jednocześnie z łańcuchem natknąć się można na monumenty i ulice sławiące zarówno Decebala, jak i cesarza Trajana. Rzymskie, a raczej wprost imperatorskie imiona do teraz

cieszą się tu zresztą niezwykle popularnością – dość wspomnieć rządzącego pomiędzy 2004 a 2014 r. prezydenta Traiana Băsescu, ministra spraw zagranicznych z lat 2012–2014 Titusa Corlăţeanu czy premiera z lat 30. ubiegłego wieku Octaviana Gogę.

„Geokulturowa” samotność

Znajomość sposobu myślenia Rumunów o własnych korzeniach oraz miejscu na kulturowej i historycznej mapie Europy jest niezwykle istotna z analitycznego punktu widzenia. Pomaga bowiem przynajmniej częściowo zrozumieć zarówno mentalność tamtejszej elity rządzącej, w tym priorytety prowadzonej przez nią polityki zagranicznej, jak i decyzje kształtującego lokalną scenę polityczną elektoratu. I tak przykładowo właśnie ze względu na ów *mindset* to karpackie państwo nieszczególnie czuje się związane z regionem geograficznym, do którego przynależy. Nie chodzi przy tym wyłącznie o same Bałkany, do których stanowczo – jak wspomniano – nie chce być zaliczane, ale nawet o Europę Środkową i Wschodnią.

Sąsiedzi (poza Mołdawią) generalnie nie cieszą się szczególnym zaufaniem Rumunów. W sondażu przeprowadzonym w 2021 r. zaledwie 11% z nich za najlepszego uznało Bułgarię, 8% – Serbię, 4% – Węgry (z którymi relacje dodatkowo obciąża przeszłość), a 2% – Ukrainę. Aż 45% wskazało zaś właśnie bliską im historycznie, kulturowo i językowo Republikę Mołdawii, postrzeganą przez ogół ludności jako część rumuńskiego terytorium narodowego (o czym nieco później). Ponad 30% nie umiało natomiast odpowiedzieć na postawione pytanie. Wartości te potwierdza popularna w kraju anegdota, zgodnie z którą najlepszym przyjacielem i najwierniejszym sojusznikiem Rumunii w okolicy jest... Morze Czarne.

Ten brak sympatii regionalnych na pierwszy rzut oka może się wydać dziwny, ale da się go zrozumieć, gdy spojrzymy na sytuację przez pryzmat opisanego wyżej podejścia Rumunów do swojego miejsca na kontynencie. Narracja o przynależności do łacińskiego świata sprawia, że cierpią oni na swego rodzaju „geokulturową” samotność i mentalnie widzą się raczej gdzieś na pograniczu Włoch, Niemiec i Francji (regularnie nazywanej zresztą w Rumunii „starszą siostrą”), a nie pomiędzy Bułgarią, Węgrami a Ukrainą, gdzie ich ojczyzna w istocie leży.

Ten przechył w stronę głównych stolic zachodnich – Paryża, Berlina czy Waszyngtonu – poza wynikającym z „romantycznych” przyczyn poczuciem wspólnoty kulturowej ma też inne, bardziej praktyczne źródła: współpraca i sojusz z nimi Bukaresztowi zwyczajnie się opłacają w wymiarach politycznym, ekonomicznym i bezpieczeństwa. Niemniej warto pamiętać, że w polityce

zagranicznej przyświecają mu, prócz bardzo charakterystycznego pragmatyzmu, również pewne ideologiczne, a nawet właśnie „romantyczne” pobudki.

(Bardzo) głębokie państwo

Rumuńską rzeczywistość wyróżnia bardzo szczególna i chyba nigdzie indziej w Unii niespotykana w takim natężeniu cecha, którą każdy pochylający się nad tym krajem specjalista musi mieć z tyłu głowy. To swoista obsesja na punkcie rzekomej wszechwładzy *deep state* czy może prościej – służb, zdaniem licznych lokalnych komentatorów, dziennikarzy i analityków stojących za istotnym odsetkiem zachodzących tam procesów i podejmowanych decyzji. Ta wręcz paranoja nie jest zupełnie bezpodstawna – państwo faktycznie dysponuje jednym z najbardziej rozbudowanych aparatów wywiadowczych i kontrwywiadowczych w Europie. Nieoficjalne dane pozwalają zakładać, że miejscowe agencje – na czele z wywiadem wewnętrznym, tj. SRI (Serviciul Român de Informații, w pewnym uproszczeniu odpowiadającym polskiej ABW), oraz zagranicznym, tj. SIE (Serviciul de Informații Externe) – zatrudniają od 15 tys. do nawet ponad 30 tys. osób. Oznacza to, że jeden pracownik struktur tego typu przypada dziś na zaledwie ok. 600–1200 mieszkańców kraju.

Przekonanie o potędze służb wzmacnia fakt, że te nigdy w istocie nie przeszły pełnej i rzeczywistej lustracji. Agencje powstałe po 1989 r. (w tym SRI) nie tyle zostały zbudowane na bazie niesławnej Securitate – która formalnie przestała istnieć wraz z upadkiem reżimu komunistycznego – ile po prostu były nią nadal, tylko pod nowym szyldem czy nowymi szyldami. Tajną policję oficjalnie zlikwidowano, a z jej poszczególnych departamentów uczyniono odrębne jednostki, które przejęły zarówno majątek ruchomy i nieruchomości, jak i praktycznie całe kadry poprzedniczki. Nastąpił więc raczej swoisty „rebranding”, a nie prawdziwa reforma służb (nie mówiąc już o ich oczyszczeniu).

Herta Müller, pochodząca z Rumunii niemiecka pisarka i laureatka Nagrody Nobla, która sama doświadczyła represji ze strony Securitate, stwierdziła: „Tajna policja Ceaușescu nie została rozwiązana, ona tylko zmieniła nazwę”. Rzeczywiście, spora część funkcjonariuszy tej formacji pozostała w nowych strukturach, a nawet awansowała i robiła błyskotliwe kariery. Dość rzec, że dyrektorami SRI w latach 90. i 2000. zostawali ludzie powiązani z komunistycznym aparatem bezpieczeństwa.

Zgromadzone przez całe dekady tajne akta bezpieki dopiero na początku obecnego stulecia zaczęto przekazywać cywilnym instytucjom zajmującym się lustracją, którym przewodziła powołana specjalnie w tym celu Narodowa Rada ds. Badań nad Archiwami Securitate (CNSAS). Do tego czasu – przez ponad 10 lat istnienia demokratycznej już przecież Rumunii – wciąż znajdowały się one

w rękach SRI. Łatwo więc wyobrazić sobie, jak bardzo niekompletne musiały być teczki wydane ostatecznie CNSAS. Komentując wprowadzenie pierwszych ustaw lustracyjnych w 2010 r., politolożka Alina Mungiu-Pippidi argumentowała: „Cały system jest zbyt przesiąknięty [ludźmi związanymi z reżimem – KC], aby te archiwa mogły być użyteczne”. Sugerowała też, że służby miały wystarczająco dużo czasu, by z łatwością zniszczyć najbardziej niewygodne materiały. Nie jest tajemnicą, iż wielu byłych oficerów bezpieczeństwa weszło po 1989 r. do świata biznesu, polityki i mediów. To tzw. *băieții din servicii*, czyli „chłopcy ze służb”, tworzący nieformalną sieć byłych agentów dysponujących rozległymi wpływami w każdej z tych sfer.

Mundurowi stanowią więc w powszechnej opinii rodzaj czwartej władzy. W innych państwach pozycję tę zwykle zajmują media, ale w Rumunii nie mogą one do końca pełnić tej funkcji. To chyba właśnie służby odgrywają więc rolę swoistego stabilizatora systemu. Nie tylko bronią kraju przed zewnętrznymi zagrożeniami, lecz także – jak się wydaje, bo trudno o oficjalne potwierdzenie takiego poglądu – uważają za swoją powinność dbanie o to, by rządzące w Bukareszcie elity i liczące się partie polityczne nie wyprowadziły państwa z obozu zachodniego. Organy te są zatem dodatkowym (poza opisanym wcześniej czynnikiem mentalnym) bezpiecznikiem mającym gwarantować, że bez względu na to, kto będzie stał u steru, Rumunia pozostanie wiernym sojusznikiem USA i członkiem NATO. Prowadząc analizę tamtejszej rzeczywistości politycznej, trzeba więc mieć na uwadze, że pewne wydarzenia czy decyzje władz mogą wynikać z aktywności służb.

No właśnie: mogą, ale nie muszą. Choć struktury głębokiego państwa faktycznie znaczą tam więcej niż gdziekolwiek indziej w regionie, to przypisywanie im niemal demiurgicznej potęgi – do czego miejscowi eksperci, dziennikarze i politycy mają nieskrywaną skłonność – to przesada i swego rodzaju intelektualna droga na skróty. Oddziaływaniem organów czy powiązaniami działaczy z tą czy inną służbą da się bowiem wytłumaczyć niemal wszystko, ignorując przy tym inne przyczyny stojące za postępowaniem konkretnych ludzi. Ważne zatem, by nie utonąć w morzu teorii spiskowych, na które badacz Rumunii natknie się w swej karierze dziesiątki, jeśli nie setki razy – a na pewno nie dawać im ślepej wiary bez porządnego przyjrzenia się im okiem sceptyka.

Wszechmoc *deep state* podważa historia wyborów prezydenckich z końca 2024 r. Niespodziewanie najwięcej (23%) głosów w ich pierwszej turze otrzymał notujący w sondażach ok. 5% poparcia Călin Georgescu – antyukraiński, sympatyzujący z Putinem „newage’owy” nacjonalista. Jego sukces zszokował zarówno polityków głównego nurtu, jak i instytucje dbające o bezpieczeństwo państwa, które zresztą w kolejnych tygodniach robiły, co trzeba, by dostarczyć wymiarowi sprawiedliwości materiały umożliwiające najpierw anulowanie

zwycięskich dla Georgescu wyborów, a następnie postawienie go w stan oskarżenia za rzekomy udział w przygotowaniu przewrotu konstytucyjnego. Tak więc służby pomogły wprowadzić zablokować marsz tego kontrowersyjnego działacza po władzę, lecz trudno uznać to za przejaw niesamowitej siły, jaką przypisuje się im często w tym kraju. Prawdziwie wszechwładne organy bezpieczeństwa nie tyle bowiem pomogłyby unieważnić głosowanie – wywołując tym samym największy kryzys polityczny od lat 90. XX wieku – ile... nigdy nie dopuściłyby tak zagrażającego państwu kandydata do wyścigu o fotel prezydenta.

Możliwe oczywiście, że – jak głoszą niektórzy autochtoni – służby miały Georgescu na oku, a nawet wspierały jego kampanię, by w ten sposób osłabić innego nacjonalistę, Georgego Simiona, i nie pozwolić mu wejść do drugiej tury. Tyle że rozwój wypadków świadczy raczej na niekorzyść tezy o nadzorujących każdą dziedzinę życia strukturach głębokiego państwa. Gdyby były takimi w istocie, to ta rzekoma makiaweliczna operacja z pewnością nie wymknęłaby się im spod kontroli.

W tym kontekście warto wspomnieć jeszcze o jednej kwestii. Otóż każdy zajmujący się Rumunią specjalista wcześniej lub później (zwykle naprawdę szybko) usłyszy od tamtejszego rozmówcy nie tylko to, że ten czy inny polityk, biznesmen, dziennikarz czy człowiek kultury jest związany ze służbami lub przez nie kontrolowany – będzie też subtelnie przekonywany, że tenże właśnie rozmówca sam ma z organami jakieś układy albo dysponuje niedostępną dla innych, a pochodzącą właśnie z wywiadowczej krynicy wiedzą. W większości, o ile nie w 100% przypadków, powiązania te okażą się wyłącznie urojone. Z doświadczeń piszącego te słowa wynika, że osoby pracujące w SRI czy SIE lub z nimi współpracujące zdecydowanie nie są zainteresowane ani otwartym opowiadaniem o nich, ani „puszczaniem oczka” swemu zagranicznemu interlokutorowi, by zrobić na nim wrażenie.

O tej kabotyńskiej skłonności części Rumunów do pozowania na agenta należy po prostu pamiętać i nie dać się tym ludziom zauroczyć, bo ich teorie i historie przez nich przytaczane potrafią zachwycić. Na szczęście najczęściej dość łatwo będzie nam ich przez ową teatralność rozpoznać. Problem polega jednak na tym, że nawet znani miejscowi komentatorzy niekiedy dają się przekonać własnej sieci znajomych i kontaktów – w której prócz kilku osób autentycznie wiedzących, co w służbach piszczy, nie brakuje fantazjujących o tym przywiłaju – a następnie kolportują dalej nie do końca wiarygodne informacje z tych pseudotajnych źródeł. Czynią tak nawet poważani uczestnicy debaty publicznej. Ci ludzie nie zmyślają, by zaspokoić swoje ego, ale w dobrej wierze stosują to, co usłyszeli, do wyjaśniania zastanej rzeczywistości. Tu znów warto – mimo zaufania do nich – zachować pewną ostrożność i zawsze pytać o pochodzenie danej wiedzy. Cóż innego można bowiem zrobić?

Wiele mówiące milczenie...

Pochodną potęgi służb oraz niewyczerpywalnym źródłem paliwa dla teorii spiskowych jest wspomniana niebywale silna skłonność rządzących do utajniania wszystkiego, co tylko ukryć można. Struktury państwa, a zwłaszcza wojsko, resort spraw wewnętrznych czy – rzecz jasna – organy bezpieczeństwa bardzo niechętnie podają do informacji publicznej jakiekolwiek ważniejsze dane na temat swej działalności. Co ciekawe, ten stan rzeczy nie wzbudza powszechniejszego oburzenia. Społeczeństwo i media – mimo okazjonalnego narzekania nań – zdają się co do zasady wykazywać zrozumienie dla tej daleko posuniętej ostrożności.

Ilustracje tego paranoicznego wręcz podejścia da się mnożyć. Ot, liczba pracowników struktur wywiadowczych pozostaje szerzej nieznana, choć w innych krajach zwykle wartości tej nie uznaje się za godną zatajenia. Informacje na temat kontraktowanego sprzętu wojskowego również są z reguły wyraźnie bardziej skąpe niż w pozostałych państwach NATO. Najciekawszy w ostatnich latach przykład niezrozumiałego skrywania aktywności państwa wiązał się z kwestią pomocy udzielanej przez nie broniącej się przed Rosją Ukrainie. W chwili powstawania tego tekstu – a więc w połowie 2025 r. – Bukareszt pozostawał bodaj ostatnią stojącą jednoznacznie po stronie Kijowa stolicą niepodającą, jaką broń wysyła napadniętemu sąsiadowi. Oficjalnie wiadomo jedynie o przekazanej mu w 2024 r. baterii Patriot, ale informacji o tym transferze nie dało się ukryć, gdyż międzynarodowa dyskusja o tym, który z sojuszników zdobędzie się na taki gest, od początku była jawna.

Za nieujawnianiem zakresu pomocy militarnej dla Ukrainy stoją – poza wspomnianą już tradycyjną niechęcią do publicznego rozprawiania na ten temat – także inne powody. Nie ma wątpliwości, że w obliczu ograniczonego poparcia społecznego dla dostarczania Kijowowi uzbrojenia (w trakcie trzech lat wojny za takim działaniem opowiadała się zdecydowanie mniej niż połowa Rumunów), władze nie chciały dawać propagandowej amunicji radykalnej i antyukraińskiej prawicy ani narażać się na zarzut osłabiania – i tak znajdującej się w nie najlepszym stanie – własnej armii. Niemniej fakt, że wyłącznie Bukareszt zdecydował się na taki ruch, jest niezwykle symboliczny i wiele mówi o tym, jak mało danych przekazują miejscowe instytucje, gdy nie muszą tego robić.

...i ezopowa mowa

Warto dodać, że kiedy krajowe organy decydują się jednak na udostępnienie jakiejś informacji lub stanowiska w danej sprawie, czynią to nierzadko w sposób tak zawoalowany, że bez zachowania analitycznej czujności oraz znajomości szerszego kontekstu łatwo dać się zmanipulować. Przykłady? Pierwszy dotyczy

nakładów na bezpieczeństwo. Rumunia przeprowadza obecnie największą od 1989 r. modernizację sił zbrojnych, a rządzący konsekwentnie powtarzają, że od 2015 r. przeznaczają na obronność minimum 2% PKB – tyle że od 2015 do 2023 r. wydatki na ten cel tylko raz, w 2020 r., przekroczyły deklarowany przez nich próg (o jedną setną procent). Ba! Przez dużą część tego dziewięcioletniego okresu realne fundusze na wojsko nawet nie zbliżyły się do tego pułapu – wynosiły średnio 1,7%. Dopiero w 2024 r. budżet obronny faktycznie wyraźnie urósł i osiągnął 2,25% PKB (choć – co trzeba podkreślić – zgodnie z zapowiedziami decydentów miał pobić granicę 2,5%).

Czy zatem rząd przez prawie dekadę kłamał? Nie. Kluczem jest tu słowo „przeznacza”, którym władze posługują się w komunikatach. Rzeczywiście od 2015 r. środki alokowane w budżecie na potrzeby obrony sięgają dwóch i więcej procent PKB, ale rzadko kiedy udaje się je spożytkować. Niektóre kontrakty po prostu nie zostają podpisane, inne są zrywane, a jeszcze inne realizowane tylko w części. Mimo to media regularnie dają się złapać w pułapkę i mówią o wydatkach równych owym dwóm procentom PKB lub wyższych.

Tytuł mistrzów ezopowej mowy należy się jednak – co nie dziwi, wszak to ważna kompetencja w tym zawodzie – dyplomatom. Gdy nie jest to konieczne, rumuńska służba zagraniczna nie znosi używać stanowczych słów ani składać jednoznacznych deklaracji. Niechęć tę doskonale ilustruje przyjęta w 2020 r. Strategia obrony kraju. Jej autorzy chcieli zaakcentować wagę strategicznych relacji z USA, a jednocześnie zwrócić uwagę na wynikające z narastającej rywalizacji między Waszyngtonem a Pekinem zagrożenie dla tychże stosunków oraz – szerzej – dla stabilności globalnej (w tym sytuacji w Europie). Zarazem pragnęli za wszelką cenę uniknąć nazywania Chin wrogiem czy przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych – bo to stawiałoby sprzymierzoną z drugim z tych państw Rumunię w roli potencjalnego adwersarza ChRL – a nawet wykazać pewne zrozumienie dla ambicji międzynarodowych Pekinu. W efekcie powstał taki oto ustęp, który – by docenić jego urok – trzeba przytoczyć w całości:

Dominacja Stanów Zjednoczonych w systemie międzynarodowym pozostanie niekwestionowana w przewidywalnej przyszłości, co z punktu widzenia interesu narodowego Rumunii stanowi element kluczowy. Z drugiej strony doktryna oraz wieloletnie, etapowe cele Chin będą coraz bardziej wpływały na sposób, w jaki USA postrzegają systemową rolę tego państwa, oraz na ich odpowiedź wobec niego. Międzynarodowa architektura bezpieczeństwa będzie w dużym stopniu kształtowana przez redefinicję interesów bezpieczeństwa państw posiadających globalne ambicje oraz przez rekonfigurację wzajemnych relacji między nimi. W sytuacji gdy nie widać istotnych przesłanek do zmiany paradygmatu w relacjach między Stanami Zjednoczonymi a ich strategicznymi ry-

walami, to właśnie obszary, w których przecinają się ambicje hegemoniczne na poziomie regionalnym (Europa i Azja-Pacyfik), będą najbardziej narażone na głębokie przekształcenia w zakresie bezpieczeństwa.

Jasne? Jasne!

„Forma bez treści” – kilka słów o źródłach prasowych

Do podstawowych wyzwań, z którymi musi zmierzyć się badający Rumunię analityk pracujący w oparciu o tzw. źródła otwarte należy ich – tj. owych źródeł, a w każdym razie znacznego ich odsetka – niska jakość. Problem dotyczy przede wszystkim prasy, rozumianej tu *sensu largo* jako wszelkie odmiany klasycznych mediów. Już po kilku dniach obcowania z tamtejszymi gazetami, portalami i lokalnymi programami informacyjnymi każdy bodaj ekspert dostrzeże, że zdecydowana większość z nich skupia się nie tyle na starannym informowaniu odbiorcy o stanie otaczającej go rzeczywistości, ile na „infotainmentie” – przedkłada krzykliwość i zabawną formę nad niosącą wartość poznawczą treść.

W efekcie materiały publikowane przez miejscowe media świetnie wpisują się w zjawisko nazywane z rumuńska *formele fără fond*, czyli formą bez treści. Na marginesie dodajmy, że ten niesłychanie popularny w kraju i wypromowany w XIX wieku przez twórców współczesnego państwa rumuńskiego termin literacko-filozoficzny dobrze znać, gdyż do dziś można się z nim spotkać w licznych komentarzach liderów opinii, uważających, że celnie oddaje on zarówno sposób myślenia rodzimych elit politycznych, jak i specyfikę funkcjonowania wielu instytucji.

Materiały poświęcone zagadnieniom politycznym, międzynarodowym czy gospodarce nie dość, że zwykle nie są przygotowane należycie starannie, to jeszcze mieszają się – nierzadko w wyrównanych proporcjach – z tymi czysto obyczajowymi. Opublikowany tekst ma w pierwszej kolejności przyciągnąć czytelnika krzykliwym (i często wyolbrzymionym, a w rezultacie – manipulującym) tytułem. Standardem, nawet w uważanych za poważne i wpływowe redakcje, jest rozpoczynanie artykułów od słów i sformułowań takich jak „Szok!”, „Breaking news!”, „Z ostatniej chwili!” czy „Niewiarygodne!”, prowadzące do utraty przez nie wartości i znaczenia.

Korzystający z przekazów medialnych analityk powinien więc dość szybko wyrobić w sobie dystans czy wręcz niewrażliwość na podobne nagłówki, jako że w ponad połowie przypadków umieszczone pod nimi treści nie będą wcale przełomowe czy zaskakujące. W tytułach i leadach nierzadko też stosuje się zmanipulowane (czy raczej „podkrecone”) cytaty pochodzące rzekomo od osób, o których w tekście mowa. Niektóre media robią to ze względu na swoje sympatie i antypatie polityczne, a inne – z dużo bardziej prozaicznych powodów,

ot, choćby w celu przyciągnięcia odbiorcy i zwiększenia klikalności danego materiału. Warto więc zagłębić się w zawartość artykułu i znaleźć całą, zamkniętą cudzysłowem wypowiedź, a najlepiej sprawdzić ją u źródła. Na wszelki wypadek.

Dość powszechną praktyką jest również pisanie w trybie dokonanym o zdarzeniach, które nie tylko nie miały jeszcze miejsca, ale wcale wydarzyć się nie muszą – głównie w tytułach, choć niekiedy w takim duchu sporządza się cały tekst. Przykłady? Proszę bardzo: „Będą nowe podatki!” – w sytuacji, gdy w parlamencie dopiero rozpoczyna się dyskusja o tym, czy w ogóle takowe wprowadzać – albo „Nowe przepisy w sektorze energii odnawialnej!” – gdy przed odpowiednią komisją parlamentarną (a więc jeszcze przed pierwszym czytaniem) trafił wstępny projekt ustawy, którego przyszłość – o czym dziennikarze doskonale wiedzą – rysuje się w ciemnych barwach.

Najpoważniejszą wadę rumuńskiej prasy stanowi jednak jej niechlujność. Autorzy notorycznie popełniają błędy merytoryczne, przede wszystkim we wszelkiego rodzaju danych ekonomicznych i generalnie liczbowych. Myle nie jednostek, błędne umieszczanie przecinka, podawanie w jednej publikacji dwóch sprzecznych ze sobą wartości (bez krytycznego komentarza) – zdarza się nagminnie. Na tego typu pomyłki natrafimy przy tym nie tylko w mediach popularnych (tj. ogólnych, niespecjalistycznych), lecz także branżowych, zajmujących się energetyką, gospodarką czy finansami.

Ta niechlujność przejawia się też w notorycznej niechęci do weryfikowania informacji ze źródeł oficjalnych, tj. not prasowych albo oświadczeń polityków i urzędników. Próbką? Gdy jakiś przedstawiciel władz powie choćby o „rozpoczęciu wielkiej inwestycji” w tym czy innym mieście, media najczęściej zacytują go lub przedrukują (po drobnych przeróbkach) uzyskany z jego biura komunikat, nie zwracając uwagi na fakt, że owa inwestycja zapowiadana jest już po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch lat i pierwotnie miała rozpocząć się przykładowo kilka miesięcy wcześniej.

W zrozumieniu problemów, jakie stawia przed analitykiem taki, a nie inny *modus operandi* miejscowych mediów, pomoże anegdota. W 2024 r. autor tego tekstu próbował – bazując na źródłach prasowych – określić liczbę wymagających opieki szpitalnej uchodźców palestyńskich, którzy w związku z działaniami Izraela w Strefie Gazy trafili do Rumunii. W kilkunastu dostępnych tekstach rozmiar tego grona wahał się od kilkunastu do... kilkuset osób. Stało się tak, gdyż tamtejsi politycy kilkakrotnie zapowiadali przyjęcie grupy potrzebujących Palestyńczyków, lecz za każdym razem podawali nieco inną jej liczebność. Jednym razem wspominali o samych dzieciach, innym – o dzieciach wraz z opiekunami. W pewnym momencie nie dało się już ustalić, czy komunikaty dotyczą jednej grupy czy może kilku. Niektóre media sumowały liczby podawane przez oficjeli w kolejnych deklaracjach. Inne nie zadawały sobie tyle trudu i zwyczajnie

cytowały to, co serwowali im urzędnicy. Sytuacji nie poprawiał fakt, że gdy uchodźcy zaczęli trafiać do krajowych szpitali, wciąż twierdzono, że to zaledwie część oczekiwanych Palestyńczyków i że w przyszłości zjawi się ich zapewne więcej, czego miały dowodzić... różne dane pojawiające się wcześniej w mediach. Co ciekawe, mimo chaosu informacyjnego żaden z dziennikarzy nigdy nie zdecydował się rozwiać tych wątpliwości i najnormalniej w świecie poprosić odpowiedzialnego za program pomocowy urzędnika o dokładną liczbę przyjętych.

W obliczu wszystkich opisanych wyżej przywar trapiących krajowe media nie może dziwić, że za najbardziej wiarygodne – a na pewno stosujące się do zasad warsztatu dziennikarskiego – uznaje się (nie bez powodu) redakcje tworzone przez podmioty zewnętrzne, w tym lokalny, rumuńskojęzyczny oddział Radia Wolna Europa i bukareszteńską filię Radio France Internationale.

Na zakończenie smutny fakt mówiący wiele o stanie prasy społeczno-politycznej w Rumunii. Otóż jedną z największych w dziejach państwa afer korupcyjnych – związaną z pożarem, który wybuchł 30 października 2015 r. w stołecznym klubie Colectiv i pochłonął życie ponad 60 osób – zbadał dogłębnie... dziennik o tematyce sportowej „Gazeta Sporturilor”. To jego pracownicy ustalili, że część ofiar tragedii (do której doszło wskutek nieprzestrzegania norm przeciwpożarowych, na co również pozwoliły odpowiednie łapówki) zmarła, gdyż podawano im leki złej jakości. W toku śledztwa reporterzy popularnego pisma, na co dzień analizujący wyniki meczów i transfery między klubami, zdobyli dowody wskazujące, że skorumpowani urzędnicy wielokrotnie świadomie kupowali rozwodnione (a więc nieefektywne) antybiotyki, co pociągnęło za sobą dodatkowe zgony. W ten sposób rozrywkowa z natury rzeczy gazeta wypełniła misję dziennikarską znacznie lepiej niż formalnie „misyjne” media.

Wyspy analitycznej szczęśliwości

Nie ukrywajmy: badanie Rumunii to wyzwanie. Na dłuższą metę konieczna jest przynajmniej pasywna znajomość języka, jako że nie ma zbyt wielu „nierumuńskich” analityków zajmujących się tym krajem, a jednocześnie tworzących opracowania i analizy po angielsku. Co do mediów – to choć część z nich publikuje w tym języku (funkcjonują nawet całe anglojęzyczne rumuńskie serwisy informacyjne, takie jak Romania Insider czy Romania Journal), to bez choćby podstawowego opanowania mowy, którą posługują się na co dzień Rumuni, nie sposób śledzić debaty ani licznych talk-show regularnie goszczących w lokalnych mediach, a te stanowią naprawdę wartościowe źródło wiedzy i kontekstu polityczno-kulturowego.

Spore utrudnienia generują też: wspomniana popularność teorii spiskowych, szpiegomania, obsesja na punkcie tajności i nie najlepiej wypełniające

swoje zadania media. Wszystko to sprawia, że trudno niekiedy połączyć się w tym, co w Rumunii jest, a co nie jest prawdą. Nie pomagają takie drobiazgi jak chociażby wołające o pomstę do św. Izydora (patrona internetu) strony Narodowego Instytutu Statystyki i innych instytucji dysponujących precyzyjnymi – przynajmniej w teorii – danymi liczbowymi.

Analitik studiujący Rumunię musi się więc w jakiejś mierze pogodzić z faktem, że w przypadku niektórych tematów nigdy nie zyska pełnej pewności co do słuszności części swoich hipotez – na zawsze pozostanie na jakimś poziomie prawdopodobieństwa. Nie będzie w tym jednak odosobniony – w końcu z podobnymi wyzwaniem mierzą się jego rumuńscy koledzy. Analiza tamtejszej rzeczywistości i dla nich nie jest sprawą łatwą.

Mimo to warto podjąć rękawicę. Istnieją zresztą na tym łańskim, rumuńskim morzu tajemnic także „wyspy analitycznej szczęśliwości”. Jedną z nich zbudowana jest z sympatii do Polski i Polaków – której co do zasady pełni są lokalni mieszkańcy – sprawiającej, że z większą otwartością podchodzą oni do badaczy z naszego kraju. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że Rumuni są jednymi z najbardziej polonofilskich narodów na kontynencie. Inną „wyspę” tworzy wykazywana przez tamtejszych kolegów (dziennikarzy, analityków, reprezentantów trzeciego sektora, a nawet polityków) chęć spotykania się z zainteresowanymi ich ojczyzną i kłopotami ludźmi. Szczególnie tymi pochodzącymi znaną Wisły.

Owa sympatia kontrastuje swoją drogą z wciąż pokutującymi w Polsce negatywnymi stereotypami na temat Rumunii i Rumunów, którzy kojarzą się u nas to z Romami, to z ubóstwem czasów późnego Ceaușescu. Tymczasem wyobrażenia te rozmiągają się z prawdą. Romowie, choć faktycznie stanowią istotną mniejszość (nawet do 10% populacji), są grupą kulturowo, etnicznie i językowo odrębną od Rumunów. Skrajna bieda z lat 80. i początku transformacji ustrojowej należy dziś do przeszłości, a współczesna Rumunia, mimo opisanych trudności, cieszy się opinią tygrysa gospodarczego wschodniej flanki UE.

Wreszcie, abstrahując już od kwestii politycznych, należy podkreślić, że Rumuni są niezwykle gościnnymi oraz – jak przystało na przedstawicieli kultury łańskiej (samozwańczy czy nie) i południowoeuropejskiej – towarzyskimi ludźmi, którzy nie tylko poświęcą nam swój czas i uwagę, lecz także sprawiają, że ów czas spędzimy po prostu miło. Zarówno dla tych wysp, jak i dla tajemniczych, ledwo dostrzegalnych z powierzchni raf, których dokładnych kształtów można się niekiedy tylko domyślić, warto zapuścić się na te niełatwe wody.